Dziś: Napoleon Sądek „Moja pierwsza miłość" (na str. 3-ej.)

OPŁATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

OSTATNIE WIADOMOŚCI KRAKOWSKIE

Prenumerata miesięczna zł. 1·95 z odbiorem w administracji

10 gr.

Rok V. Kraków, poniedziałek 10 czerwca 1935 r. Nr 159

Potworna zbrodnia szaleńca

Niesamowite okoliczności, które sprawiły, że kupiec zabił żonę

Fabryczka trujących proszków i jej nieszczęsne ofiary

Ponura zbrodnia jaka rozegrała się w dniu onegdajszym w sklepie spożywczym Szmula Gersza Klajnbarta przy ul. Barskiej 17, nie przestała ani na chwilę poruszać do głębi mieszkańców Ochoty, a przedewszystkiem sąsiadów i klienteli popularnego w tej dzielnicy sklepikarza.

Nasz reporter zdobył rewelacyjne szczegóły, które wyjaśniają tło zbrodni i rzucają snop światła na osobę potwornego żonobójcy.

TAJEMNICZE PROSZKI

Od dłuższego czasu pojawiać się zaczęły w sprzedaży tajemnicze proszki od bólu głowy, w sfałszowanem opakowaniu jednej z popularnych firm stołecznych, lecz pociągające za sobą niezwykle wprost szkody dla zdrowia i organizmu, używających je osób.

Ci, którzy zażywali owe proszki, zapadali zazwyczaj na nieznaną medycynie chorobę, przypominającą żywo egzemę, lecz rozwijającą się z niezwykłą szybkością, zagrażającą życiu cierpiących.

Niezwykłość tej choroby przez długi czas pozostała niewyjaśniona, aż wreszcie na ulicy Barskiej Nr. 19 zmarła nagle na serce kobieta, a śmierć jej wiązała się dziwnie z użytym na kilka minut przedtem proszkiem od bólu głowy. Dzięki temu zbiegowi okoliczności władze po raz wtóry zajęły się potajemną fabryczką Szmula Klajnbarta.

REWIZJA NA GODZINĘ PRZED ZBRODNIĄ

W dniu onegdajszym, na godzinę przed zbrodnią odwiedziły Klajnbarta władze policyjne i ponownie przeprowadziły rewizję w mieszkaniu jego, oraz w znajdującym się tuż przy mieszkaniu sklepie spożywczym.

Po wyjściu przedstawicieli władzy, Klajnbart począł zdradzać objawy silnego zdenerwowania. Dzieciom, które najczęściej przebywały u sąsiadów, nakazał sklepikarz pozostać w domu.

— Nie ruszać się ani na krok — krzyczał do czteroletniego Joska. — Masz dom, to waruj w nim!

STRASZNY PLAN DOJRZEWA

Po chwili weszła do sklepu jedna z klientek, pragnąc Klajnbartowej zwrócić zaciągnięty na książeczkę dług w wysokości 3 zł. 50 gr. Interesantka posiadała banknot 50-złotowy i dlatego poprosiła o wydanie reszty.

— Z pięćdziesięciu złotych nie będę pani mogła wydać — oświadczyła Klajnbartowa, nie przypuszczając zapewne, że doprowadzi tem męża swego do wściekłości.

— Jakto? — zawołał Klajnbart, uderzając pięścią w ladę. — To dzisiaj jest już szósty, a ty jeszcze od pierwszego nie odebrałaś od dłużników pięćdziesięciu złotych?! To ty tak prowadzisz interes?! Poczekaj, ja cię nauczę rozumu!!!

Po tych słowach rozwścieczony sklepikarz wybiegł na ulicę, a Klajnbartowa zwróciła się z prośbą do klientki:

— Moja pani kochana, niech pani nie wychodzi teraz ze sklepu, bo on mnie pobije!

PRZECZUWAŁA ŚMIERĆ

Interesantka zgodziła się, lecz w tej samej chwili wpadł do sklepu Klajnbart i krzyknął w jej stronę:

— Co pani tutaj wysiaduje?! Niema pani swoich dzieci?! Musi pani mojej żony pilnować?!

Obrażona klientka opuściła sklep, a tymczasem Klajnbart skoczył do mieszkania, zamknął na klucz drzwi wejściowe, zabił je gwoździem, zaryglował następnie okiennice, wciągnął dzieci do sklepu i chwyciwszy nóż od krojenia sera, rzucił się na żonę.

Z dzikim wrzaskiem począł na oślep zatapiać nóż w piersiach bezbronnej kobiety.

Przeraźliwe jęki mordowanej w bestjalski sposób Klajnbartowej zaalarmowały sąsiadów. Zanim jednak zdążyli się zorjentować w sytuacji, podrażniony zapachem ciepłej krwi oszalały kupiec masakrował dalej ciało żony. W pewnym momencie pod wpływem zbyt silnego ciosu i natrafienia na kość ramienną nóż złamał się. Żonobójca odrzucił go z furją i chwycił butelkę z lemoniadą i jak maczugą, począł tłuc w zniekształconą głowę zamordowanej, znęcając się nad trupem. Bielmo szaleństwa przysłoniło mu oczy i dla okrucieństwa nie znajdował granicy.

POPŁOCH NA ULICY

Na ulicy tymczasem podniósł się lament zebranych kobiet:

— Zamorduje ją! Zamorduje!.. Ludzie, ratujcie.

Na ratunek rzucili się mężczyźni. Syn właścicielki sąsiedniego sklepu spożywczego p. Dąbrowski porwał z domu siekierę i począł nią rozwalać okiennicę. W tej samej chwili nadbiegł policjant.

Pomoc mieszkańców, niesiona nieszczęsnej kobiecie, pokrzyżowała upiorne plany mordercy, który według wszelkiego prawdopodobieństwa zamierzał również wymordować dzieci. Zdążył jeszcze porwać z ziemi złamany nóż, zadał nim cios w rękę czteroletniemu Joskowi i. dostrzegłszy wkraczających ludzi, rzucił się do ucieczki.

— Stój! — wrzasnęła jedna z kobiet. — Jak zamordowałeś, to nie uciekaj!

ZAMORDOWAŁEM!

Korzystając jednak z ogólnego zamieszania morderca, krzycząc:

— Policja! policja! Zamordowałem! — zdołał dobiec do placu Narutowicza, gdzie zatrzymany został przez policjanta.

Widok zniekształconych zwłok Klajnbartowej był tak przerażający, że kilkanaście kobiet padło zemdlonych. Płacz i lament sąsiadów mieszał się z piskiem dzieci teraz dopiero rozumiejących zaszłą tragedję.

Potworne morderstwo Klajnbarta przedstawiać będzie w każdym bądź razie dla medycyny sądowej poważną zagadkę.

Krociowe zyski skartelizowanych drożdżowni

1.200.000 zł. za unieruchomienie fabryki

Niezwykle sensacyjny proces o odszkodowanie za działalność kartelu

Na tle działalności kartelów w Polsce dojdzie niebawem do niezwykle sensacyjnego procesu cywilnego o odszkodowanie oparte na niesłusznem wzbogaceniu się.

Dowiadujemy się, że w dniu wczorajszym do wydziału XI cywilnego Sądu Okręgowego w Warszawie, wniesiony został pozew będący finałem 9-letnich sporów, jakie toczyły się z powodu kartelu drożdżowego i wydania koncesji na drożdżownie.

Właściciel majątków ziemskich, Henryk Przewłocki wystąpił z powództwem o odszkodowanie przeciwko „Zrzeszenia Producentów Drożdży" sp. z ogr. odp. łączącemu 12 fabryk drożdży wchodzących w skład kartelu. Jeszcze w 1926 roku Przewłocki wszczął u władz skarbowych starania o uzyskanie koncesji, o otwarcie nowej drożdżowni w jego posiadłościach, jednakże spotkał się z odmową, na decyzję nieuruchamiania zakładów przemysłowych tego rodzaju.

Odmowa ta stała się przedmiotem 3-ch procesów przed Najwyższym Trybunałem Administracyjnym, przyczem spór nie został dodatnio rozstrzygnięty i postępowanie przed Trybunałem nadal trwa.

Pełnomocnik skarżącego adw. Chmurski powołuje się w powództwie na umowę, jaka zawarta została na okres lat 5 do 1 września r. b. pomiędzy Ministerstwem Skarbu, a Zrzeszeniem. Celem tej umowy miało być normowanie cen drożdży, podniesienia jakości produkcji i przeciwdziałanie importowi zagranicznemu. Wzamian za to w okresie jej trwania nie miały być wydawane nowe koncesje na drożdżownie.

Powództwo twierdzi, że umowa taka nie może być uznana za ważną, gdyż koncesje na drożdżownie nie stanowią przedmiotu wolnego obiegu, a jedynie uprawnienie władzy publicznej.

Ziemianin domaga się, by kartel drożdżowy wynagrodził mu straty poniesione wskutek niemożności otwarcia drożdżowni. Przy obliczaniu tych strat powództwo powołuje się na olbrzymie zyski kartelu drożdżowego. Wynosić one mają około 1 zł. na 1 kg. drożdży z kontyngentów przyznawanych poszczególnym zakładom.

Jak wysokie były te zyski świadczyć ma również fakt, że jedna z drożdżowni na Pomorzu, która sprzedała swój kontyngent dwuroczny, otrzymała za 1.200.000 złotych za bezczynność.

Powód wnosi wobec tego o przyznanie mu narazie 10.000 złotych, jako odszkodowania za niesłuszne wzbogacenie się kartelu jego kosztem. Ma to być równowartość zysku z pracy jednomiesięcznej, przy produkcji 10.000 kg. drożdży. Skarżący domaga się powołania biegłych i zastrzega sobie prawo żądania dalszych odszkodowań.

Niezwykły przedmiot powództwa, które spowoduje pierwszy w Polsce proces o odszkodowanie za działalność kartelu, wywołał zrozumiałe zainteresowanie w sferach gospodarczych i prawniczych.

Proces o gospodarkę karteli przed Sądem cywilnym znajdzie się na wokandzie Sądu Okręgowego w Warszawie, jesienią r. b.

Fatalny początek walki o puhar Davisa

Niespodziewana porażka Hebdy — Afryka Płd. - Polska 2:1

Wczoraj rozpoczął się I-y dzień meczu tenisowego Afryka Płd. — Polska o puhar Davisa.

Na szereg dni przed meczem obliczano dokładnie i to z dużą pewnością, że spotkanie to winno przynieść nam zwycięstwo. Tymczasem, wbrew wszelkim przewidywaniom, już w 1-ym dniu **Hebda** zawiódł. Miał momenty doskonałe i wówczas zdawało się, że wygra spotkanie. Były to jednak tylko dobre passy, poczem Hebda grał monotonnie, jakby z rezygnacją. Czemu? A że gość cały czas grał „jak z nut" nie dziw, że musiał wygrać. Wynik tego spotkania brzmi: Farquarson — Hebda 6:4, 7:5, 4:6, 6:0, 8:6.

W drugim dniu meczu tenisowego Afryka — Polska, dokończono spotkanie Tarłowski — Kirby przerwane przy stanie 7:9, 7:9, 8:6. Ostatnie dwa geamy wygrał Tarłowski 6:4, 6:2. ustalając wynik meczu 1:1. Zkolei zagrano doubla. Ze strony Polski grali Hebda, Tłoczyński, goście — Farquarson, Kirby. Afrykańczycy wygrali bez bólu 6:3, 6:2, 6:2, ustanawiając wynik 2:1 na swą korzyść.

Zwycięstwo Lavala w parlamencie

Rząd jego uzyskał olbrzymią większość

PARYŻ, (A. T. E.). Przeciwko votum zaufania dla gabinetu Lavala głosowało 9 komunistów, 96 socjalistów 10 niezależnych socjalistów, 23 neo-socjalistów. 7 radykałów socjalnych, 4 członków lewicy niezależnej, 3 republikanów środka 6 bezpartyjnych i 2 członków unji republikańskiej. 19 deputowanych znajdowało się na urlopie, a 107, w tej liczbie przeszło 70 radykałów socjalnych powstrzymało się od głosowania.

Wniosek o votum zaufania został przyjęty 324 głosami przeciwko 16

Wspomnienia o Marszałku z chmurnych dni Jego życia

Zamach na pociąg carski

Między innemi w liście do przyjaciela swego Piłsudski pisał:

„Przyrzekłeś mi, że kiedy mnie wezmą djabli, napiszesz wspaniały nekrolog. Obecnie staję na czele pewnego przedsięwzięcia i być może, że już nie wrócę do życia. Piszę więc do ciebie i zechciej to w razie wypadku wziąć pod uwagę. Gdy będziesz o mnie pisał nie rób czasem ze mnie sentymentalnego mężczyzny... Wszystko stawiam na jedną kartę... Gdy mi się nie uda, usunę się"...

Mijał czas. Do Wilna zjechali niemal wszyscy, którzy mieli brać udział w historycznej akcji pod Bezdanami. Brakowało tylko 6-ciu bojowców, którzy mieli przyjechać z Warszawy.

Tymczasem w Wilnie wyznaczono jednego z bojowców do kupna koni i bryczki. Poszło to gładko. Bryczkę i konie kupiono w jednem z miasteczek na jarmarku, poczem umieszczono to wszystko w stajni, należącej do sympatyka partyjnego. Zrozumiałe, że gość ten nie orjentował się w jakim celu nabyto konie.

Drugi z bojowców wystarał się znów o łódki. Postanowiono bowiem, że część bojowców ucieknie łódkami po rzece Wilji.

Nie można było kupić łódek u rybaków, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenie. Dlatego też postanowiono zakupić zupełnie nowe łódki rzekomo dla celów sportowych. Ukryto je wpobliżu Bezdan.

Zakupiono również w Wilejce u jednego ze starych rybaków dużą łódź. Oświadczono rybakowi, że organizowana jest duża wycieczka po Wilji i Niemnie i przy tej okazji rybak otrzymał sutą zapłatę. Teraz sprawdzono dokładnie okolice wzdłuż Wilji. Okazało się, że droga jest doskonała.

Ostateczny termin wyprawy wyznaczony został na sobotę, 19 września, na godzinę 11 przed północą. Wiadomem było bowiem, że o tej godzinie i w tym właśnie dniu przybywa z Warszawy pociąg, wiozący wagon pocztowy no i upragnione pieniądze. Wyznaczony termin był już ostateczny. Jak bowiem wynikało z dostarczonych informacyj w dwa dni później miał wracać do Wilna z manewrów tamtejszy garnizonowy pułk.

Na kilka dni przed 19 września do Bezdan pojechali Piłsudski, Prystor, Arciszewski i kilku jeszcze bojowców. Trzeba było przeprowadzić ostatnie przygotowania. Piłsudski i Prystor w ciągu dłuższego czasu spacerowali po peronie. Przyglądali się pracy służby dworcowej, zaglądali do najrozmaitszych kątów. Te szczegóły były bardzo ważne i mogły znakomicie ułatwić pracę w krytycznym momencie.

Dwóch nieznanych mężczyzn, spacerujących tak długo po peronie, musiało wreszcie zwrócić uwagę wartującego żandarma. Kilka razy spojrzał podejrzliwie na Piłsudskiego i Prystora. Zauważył to Piłsudski.

Szeptem odezwał się do Prystora:

— Zaraz zobaczysz, jak ten żandarm będzie się do nas odnosił z szacunkiem.

Podeszli obadwaj do żandarma i Piłsudski spytał:

— Czy długo będziemy czekali na przyjazd pociągu z Warszawy?

— Dwie godziny — odpowiedział żandarm.

Piłsudski zamyślił się i jakby do siebie powiedział:

— Tak długo czekać... A w ministerstwie spraw wewnętrznych czekają na odpowiedź...

Żandarm usłyszawszy słowo „ministerstwo spraw wewnętrznych" poruszył się niespokojnie. Na twarzy jego ukazał się służalczy uśmiech. Był przekonany, że stoją przed nim ważne persony.

Na wszelki wypadek przybrał służbową postawę i grzecznie rzekł:

— Zdarza się, że pociągi spóźniają się.

Piłsudski obojętnie spoglądał na żandarma, poczem nie rzekłszy ani słowa spokojnie oddalił się. Żandarm stanął na baczność i przyłożył łapę do czapki. W drodze Piłsudski odezwał się do Prystora:

— Tak nabiera się frajerów.

Od tej chwili Piłsudski i Prystor swobodnie spacerowali po peronie... Już ich żandarm nie zaczepi... To było jasne...

Oglądano więc co tylko się dało i dokładnie notowano w pamięci. Lustracja trwała dość długo i wreszcie niespostrzeżeni przez żandarma oddalili się.

Wracając do Wilna Piłsudski oświadczył:

— W czwartek. 17 września odbędzie się ostatnie zebranie... A potem 19 września...

Dalszy ciąg nastąpi.
Miecz.

NA MAŁEJ WOKANDZIE...

Wymowny oskarżyciel

(A. E.) Nie wiemy, dlaczego pan Dywiński, zamieszkały przy ul. Chmielnej 6. zionie tak płomienną nienawiścią do tamże zamieszkałego pana Handwohla.

W każdym razie nienawiść ta przybrała tak ostre formy, że pan Handwohl poczuł się zmuszonym wystąpić na drogę sądową.

— Wysoki panie sądzie! — mówił pan Handwohl na rozprawie — ja żądam sprawiedliwości, z powodu moje mieszkanie, kiedy pada deszcz, pływa we wodzie, za przeproszeniem, jak okręt. Ja muszę tego Dywińskiego nauczyć, że nie wolno robić spokojnego obywatela dziurę w dachu!

— Czy pan widział — zapytał sędzia — jak pan Dywiński dziurawił dach?

— Proszę wielmożnego pana wysokiego sądu! — odpowiedział oskarżyciel. — Kiedy mojej sąsiadki ciotki szwagra córka przyszła do tego sklepu z wodą sodową dubeltowo gazowaną, co go ma Ignacy Szapszelewicz na naszej ulicy, to ona jemu mówiła, że takiego dobrego człowieka, jak Handwohl, to niema drugiego na świecie i na to Szapszelewicz powiedział...

— Panie — przerwał sędzia — nie o to pana pytałem.

— Co znaczy nie o to? — oburzył się pan Handwohl. — Ja muszę pana sędziego wszystko powiedzieć o tego łobuza, bo on mnie tak dokucza, co już dalej nie idzie.

— Kto taki? Szapszelewicz?

— Jaki Szapszelewicz? Co za Szapszelewicz? Szapszelewicz jest kochane dziecko, drugiego takiego na całem świecie niema. Dywiński jest łobuz. Niech pan sędzia zapyta koleżankę bratowej kuzyna szwagra tapicera Bielawskiego, co było, jak ona poszła sobie zrobić fleki na obcasy w tych starych kamaszach, co ona je kupiła...

— Panie! — zawołał zrozpaczony sędzia. — Niech pan zamilknie choć na chwilę...

— Zamilknie? Niema zamilknie! Ja muszę mówić, ja jestem oskarżyciel, ja mam prawo. Ja muszę pana sędziego powiedzieć co mnie Dywiński powiedział, chociaż on powiedział wyrazy, które się nie nadają do powiedzenia. Ja muszę mówić i będę mówić. Się nie boję grzywny i takowej nie zapłacę, z powodu nic nie zarabiam i pociągnę tego łobuza Dywińskiego za odpowiedzialność, ażeby mu raz na zawsze nauczyć...

Ponieważ potok wymowy pana Handwohla w żaden sposób nie dał się zahamować, pan sędzia grodzki 10-go działu odroczył rozprawę na inny termin.

W objęciach wdówki zapomniał o żonie

Udręczona kobieta, która kochała męża nad życie, zdobyła się na czyn szaleńczy

Pokochawszy gorącą miłością 24-letniego Adama G., panna Marja K. wyszła za niego za mąż.

Świeżo usłane gniazdko opromieniało wzajemnie, tak napozór zdawaćby się mogło, uczucie...

Szczęście zaledwie trwało 3 tygodnie. Po upływie bowiem tego czasu, p. Marja przekonała się, że jej ukochany Adaś zaraził się weneryczną chorobą. Fakt ten tak silnie wstrząsnął młodą kobietą, że pewnego dnia targnęła się na życie.

Gdy została uratowana z zimnych objęć śmierci — mąż zaklinał się na wszystkie świętości, żeby nie miała pretensji i przebaczyła, gdyż kocha ją nad życie.

Wyznanie to stało się jakby ożywczem tchnieniem... Pani Marja wkrótce poczuła się matką. Przebaczyła mężowi, tem bardziej, że z jego strony miała wszelkie dowody miłości, okazywane przy każdej sposobności.

Życie małżonków, mimo drobnych chmurek, popłynęło spokojnie.

Spokój ten trwał trzy lata. To znaczy aż do czasu poznania przez pana Adama majętnej, acz leciwej wdowy, która zapłonęła gorącem uczuciem do młodego żonkosia.

I rozpoczęła się błoga sielanka. Pan Adam począł zaniedbywać p. Marję i dziecko, spędzając dużo wolnego czasu w objęciach wdowy, a po pewnym czasie, stała się rzecz nieoczekiwana. Oto, p. Adam zażądał od żony rozwodu. Nieszczęśliwa kobieta początkowo wyraziła zgodę, lecz później w duszy zrodził się bunt przeciwko krzywdzie, jaka ją spotkała ze strony męża.

P. Adam, będąc pod silnym wpływem starzejącej się kochanki, postanowił za wszelką cenę dopiąć celu, za cenę zdeptania najświętszego uczucia żony. Zmienia wyznanie, podając jako powód, niemoralne prowadzenie się żony. Zarzut okazał się zgoła bezpodstawny. Wówczas p. Adam wniósł drugie podanie, przytaczając szereg urojonych faktów zdrady małżeńskiej, przyczem za świadków powołał członków swej rodziny, która wogóle niechętnie odnosiła się do p. Marji.

Przebrała się miara cierpień nieszczęśliwej kobiety, która wyraz swej udręce moralnej dała w strzale rewolwerowym, skierowanym do męża-potwora. Gdy padł omdlały na ziemię — p. Marja oprzytomniała, rzucając się na stygnące zwłoki męża ze słowami:

— Mój Ad, mój Ad kochany...

Epilog rozegrał się w sądzie, który, wziąwszy wszystkie, powyżej przytoczone przez świadków okoliczności, uznał Marję G. winną zabójstwa w stanie silnego wzruszenia i skazał ją za to na 4 lata więzienia z pozbawieniem praw.

Sąd Apelac. w Warszawie, zważywszy tę sprawę, wyrok I instancji zatwierdził.

PROGRAM RADJOWY

8.30 Pieśń. 8.33 Pobudka. 8.36 Gimnastyka. 8.50 Muzyka. 10.000 Muzyka. 10.30 Transmisja Nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w Warszawie. 11.57 Sygnał czasu. 12.03 „Nad brzegami Czarnego morza". 12.20 Poranek muzyczny. 14.00 Koncert 15.00 „Reportaż z wycieczki do Danji". 15.12 Płyty. 15.22 „Przegląd rynków produktów rolnych". 15.35 Płyty. 15.45 „Co słychać u Księżaków". 16.00 Transmisja z Wisły „Święta Wiosny Beskidzkiej". 16.45 „Życie literackie Poznania". 17.00 „Koncert dla naszych letnisk i uzdrowisk" 18.00 Transmisja z Ośrodka Pracy. 18.15 Muzyka. 18.30 „Cała Polska śpiewa". 18.45 „Życie na Wiśle". 19.10 Koncert reklamowy. 19.25 Transmisja z Kortów Legji. 19.50 „Zjazd literacki im. Krasickiego". 20.10 „Obrazki z życia dawnej i współczesnej Polski". 20.15 „W godzinę śmierci". 21.30 „Wieczór literacki ku czci Ignacego Krasickiego". 22.00 Transmisja fragmentu meczu piłkarskiego Berlin — Kraków. 22.20 „Nasza marynarka gra. 23.20 Wiadomości sportowe. 23.25 Muzyka.

Napoleon Sądek

Moja pierwsza miłość

Spowiedź humorysty w 8 rozdziałach

ROZDZIAŁ I.

w którym po dłuższej nieobecności witam się gorąco z Czytelniczkami i Czytelnikami.

Jak się macie, Kochani?!

Co u Was słychać? Co porabia Irka z Powązkowskiej, Zosia z Inżynierskiej i druga Zosia z Marymontu? Jak się powodzi panu Michałowi z Solca? Czy wciąż jeszcze narzeka na wątrobę?

Sądziliście pewno, że umarłem.

Wiem, wiem! Różne krążyły pogłoski. Mówiono, że porwali mnie handlarze żywym towarem. Inni rozpuszczali złośliwe pogłoski, że dostałem rok więzienia... za opowiadanie starych kawałów.

Wszystko bujda! Nikt mnie nie porwał, a za stare kawały jeszcze do więzienia nie biorą (chociaż podobno wkrótce mają brać).

Przyczyną mego zniknięcia była kobieta. Kobieta, która nagle i niespodziewanie stanęła na drodze mego życia.

Droga mego życia biegła tego dnia ulicą Marszałkowską, którą to ulicą szedłem w stronę Redakcji. Śpieszyłem się.

Zegar wskazywał godzinę 5-tą, minut 15 sekund 32. Szedłem, nie spodziewając się co mnie czeka, gdy nagle... ujrzałem Ją!

Była... Eh! Poco gadać, jaka była. Dość, że nogi pode mną zadrżały, serce zaczęło walić, a pierś wezbrała taką tęsknotą, że pękły angielskie gumowe szelki, które kupiłem przed rokiem na wyprzedaży w pierwszorzędnym magazynie.

Stanąłem jak wryty. Pierś uwolniona od szelek falowała burzliwie i ledwo zdążyłem wsadzić ręce w kieszenie spodni, którym groził całkowity upadek.

Poczułem, że coś się ze mną stało. Coś, co uczciwemu mężczyźnie przytrafia się raz w życiu, a mniej uczciwemu najwyżej raz na miesiąc.

Za - ko - cha - łem się!

ROZDZIAŁ II.

w którym postaram się opowiedzieć co było dalej.

Tak! To było jasne!

Angielskie, gumowe szelki za 4½ złotego nie pękają bez przyczyny.

Nie ulegało wątpliwości, że to była miłość!

— Ta albo żadna! — powiedziałem sobie. I zastąpiłem drogę pięknej nieznajomej.

— Pani! — odezwałem się drżącym ze wzruszenia głosem. — Znam panią zaledwie (żeby być dokładnym, spojrzałem na zegar. Wskazywał godzinę 5-tą, minut 16)... znam panią zaledwie 28 sekund. Ale mimo to żyć bez pani nie mogę. Albo pani, albo żadna! Proszę pania o rękę!

Zatrzymała się zdumiona, obejrzała mnie od stóp do głowy i parsknęła śmiechem.

— Pan mnie prosi o rękę? Poco? Czy pańskie dwie nie wystarczą do podtrzymania spodni?

Zalał mnie rumieniec wstydu.

— Pani mnie posądza o brak wychowania?

— Chyba! Któż to się oświadcza z rękami w kieszeniach.

Niesłuszny zarzut dotknął mnie boleśnie.

— Przysięgam — zawołałem w uniesieniu — że to nie brak wychowania, tylko brak szelek! Przed chwilą na widok pani pękły z miłości.

Zdziwiła się.

— Z miłości szelki pękły?

Westchnąłem ciężko.

— Taki już przeklęty los humorysty. Wszystko co mu się przytrafi musi być śmieszne. Normalnemu człowiekowi, kiedy się zakocha, najwyżej pęknie serce z miłości. A humoryście pękają szelki.

— Pan jest humorystą?

— Niestety!

— I pan mnie pewno zaczepił, żeby coś o tem napisać.

Zaprotestowałem gorąco.

— O nie! Tylko poto, żeby się z panią ożenić!

— Po 28 sekundach znajomości?

Spojrzałem na zegar.

— Przepraszam, znamy się już minutę i 20 sekund. Wystarczy, żeby oszaleć z miłości. A więc! Czy chce pani zostać moją żoną?

Powiedziała, że nie chce. Nie zna mnie, nie wie nawet jak się nazywam. Jakby to było potrzebne do szczęścia małżeńskiego.

Zawsze mnie wściekała ta kobieca formalistyka. Zaślepiony, zakochany mężczyzna rzuca swe serce pod stopy kobiety, a ona, jak urzędnik policji, zaczyna od personaljów. Jak się pan nazywa, ile pan ma lat, czem się pan zajmuje?

Kiedy się przedstawiłem, skrzywiła się niechętnie.

— Sądek? Słyszałam coś nie coś o panu. Nic specjalnie dobrego.

Przestraszyłem się.

— Co pani o mnie słyszała?

— Że pan pije, że pan się źle prowadzi.

— Nieprawda! — krzyknąłem. — To oszczerstwo! Gdybym mógł wyjąć z kieszeni ręce, załamałbym je z oburzenia.

Uśmiechnęła się dobrodusznie.

— Niech pan załamie. Potrzymam panu spodnie.

ROZDZIAŁ III.

w którym staram się ustalić, jaką mam opinję.

Zarzut nieświetnej opinji zabolał mnie bardzo. Sądziłem, że opinję mam dobrą. Widocznie ktoś mi ją psuje.

Żeby się upewnić poszedłem do prywatnego detektywa.

— Jest — oświadczyłem — w Warszawie pewien osobnik, nazwiskiem Sądek. Czy nie mógłby pan ustalić, co to za człowiek, czy można mu zaufać, jaką się cieszy opinją?

Detektyw wyjął na chwilę fajkę z ust.

— Kosztuje 50 złotych. Pieniądze zgóry.

Zapłaciłem. Warszawski Holmes obejrzał uważnie banknot, czy nie fałszywy i kazał mi przyjść za 2 dni.

Po dwóch dniach zgłosiłem się po odpowiedź.

— Przeprowadził pan wywiad?

— Owszem.

— No i co?

— Radziłbym panu tego gościa unikać.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie.

— Dlaczego?

— Jak ustaliłem, robi kawały. Lepiej się z nim w interesy nie wdawać. Jeszcze panu jaki kawał zrobi.

A kiedy podniosłem się z krzesła, żeby się pożegnać, detektyw przechylił się przez biurko.

— Powinien pan szanowny dołożyć ze 20 złotych. Ostrzegłem pana przed bardzo niebezpiecznym ptaszkiem.

Z trudem się powstrzymałem, żeby nie strzelić łobuza w pysk.

Wyszedłem w kiepskim nastroju. A więc przyjaciele wyrobili mi opinję nie lepszą.

ROZDZIAŁ IV

w którym moja ukochana żąda, żebym zmienił zawód.

I jak teraz przekonać Anielcię (tak jej było na imię), że jestem uczciwym człowiekiem i dobrym kandydatem na męża?

Wyrobiłem sobie w komisarjacie świadectwo moralności i zaniosłem Anielci. Uśmiechnęła się tylko pogardliwie.

Postarałem się o świadectwo szczepienia ospy, wyciąg z rejestru karnego, że nie byłem karany, dozorca dał mi zaświadczenie, że wcześnie wracam do domu.

20 knajp warszawskich, w których jestem stałym bywalcem, poświadczyło zgodnie, że wódki do ust nie biorę.

Chciałem się jeszcze wystarać o świadectwo dziewictwa, ale żaden lekarz nie chciał mi wystawić.

Anielci wszystkiego było mało. Uparła się.

— Jeżeli pan chce się starać o moją rękę, musi pan zmienić zawód. Humorysta, to nie zawód dla kandydata na męża.

Upór Anielci zaostrzył się, kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z jej rodzicami.

Na nieszczęście akurat było to rano, kiedy mama i tata Anielci wyszli z sypialni. Mama była w pyjamie i tata w pyjamie. Mama w siatce na włosach i tata w siatce. Mama ze wszystkich stron wypukła i tata wypukły.

Nic więc dziwnego, że gdy podszedłem, żeby się przedstawić zrobiło mi się gorąco.

— Kto tu jest mama, a kto tata? Kogo pocałować w rękę, a komu uścisnąć tylko dłoń?

Na chybił trafił buchnąłem w mankiet pierwszą z brzega osobę.

I naturalnie nie trafiłem. Pocałowałem w rękę ojca, a matce tak serdecznie uścisnąłem dłoń, że aż pisnęła.

Anielcia była oburzona.

— Na każdym kroku humory sta z pana wyłazi! Wszystko pan robi na odwrót! Jeżeli pan nie zmieni zawodu, nie chcę pana znać!

Łzy zakręciły mi się w oczach.

— Ukochana! Czemże pani chce, żebym został?

Anielcia marząco wzniosła oczy w górę.

— Chciałabym... chciałabym... żeby pan został mistrzem świata w walce francuskiej.

Zrobiło mi się słabo. Tak słabo, że na samo wspomnienie, jeszcze dziś pióro wypada mi z ręki. Dlatego przerywam pisanie i co było dalej napiszę jutro.

Na kolanach błagał niewierną żonę

aby powróciła do niego! — Sąd łagodnie potraktował mściciela

Wczoraj Sąd Okręgowy w Warszawie ogłosił wyrok w sprawie Zdzisława Łagudki, oskarżonego o usiłowanie zabójstwa kochanka swej żony, Zdzisława Kwiatkowskiego.

Wyrokiem sądu Łagudko został skazany na półtora roku więzienia.

W motywach ustnych sąd podniósł, że na łagodny wymiar wpłynęły wyjątkowe okoliczności, w jakich się znalazł Łagudko.

Po ucieczce żony do kochanka, Łagudko nie odrazu postanowił wywrzeć krwawą zemstę na tym, którego uważał za sprawcę złamanego życia. Sąd miał na uwadze ten bardzo ważny dla sprawy szczegół, że Łagudko, spotkawszy raz żonę swą w towarzystwie kochanka w lesie, na kolanach błagał ją o powrót do domu.

Niezastosowanie się do błagalnej prośby postawiło Łagudkę w matni życiowej, z której nie widział wyjścia, jak tylko przy pomocy przestępstwa.

Oprócz tej okoliczności, sąd wziął pod uwagę niezmiernie młody wiek oskarżonego, jego szczere przyznanie się do winy i fakt, że życiu ofiary przestępstwa nie grozi obecnie żadne niebezpieczeństwo.

Oskarżony w trakcie wygłaszania sentencji wyroku, jak i jego uzasadnienia, zachował absolutny spokój.

Na twarzy jego żony, która przybyła dla wysłuchania wyroku, nie zadrgał żaden muskuł. Zimna, nie rzuciwszy nawet w stronę ławy oskarżonych spojrzenia, opuściła salę sądową, gdzie niejedno słowo było przeciwko niej obrócone.

Krwawa walka pasierba z macochą

Od chwili, gdy Paweł Białach (wieś Kij, pow. łukowski) ożenił się powtórnie — w domu za panowały niesnaski pomiędzy Białachową a jej pasierbami. Szczególną niechęcią darzył swą macochę, 33-letni Wacław Białach, który częste czynił im wymówki za jego krok nierozważny i wprowadzenie do domu kobiety kłótliwej. Na tem tle pomiędzy synem i ojcem dochodziło do częstych kłótni, a nawet bójek.

W dniu 16 listopada ub. r. doszło właśnie do gorszącej sceny. Stary Białach w obronie własnej chwycił synalka za gardło, drugą zaś ręką jął drapać jego miłą twarzyczkę. Na pomoc mężowi pośpieszyła Białachowa, atakując pasierba kamieniem po głowie. Białach zdołał wyrwać się z rąk ojca i zbliżywszy się do macochy, silnie uderzył ją kamieniem w głowę, wskutek czego doznała ona pęknięcia czaszki i trwałego naruszenia funkcji mózgu.

Przed sądem Białach tłumaczył się konieczną obroną, lecz sąd nie dał temu wiary i skazał krwiożerczego pasierba na 2 i pół roku więzienia. Sąd Apel. w Warszawie wyrok ten wczoraj zatwierdził.

Pielgrzymka do Ziemi Świętej odroczona

Naskutek licznych próśb, a także, aby umożliwić ks. ks. Katechetom, kończącym zajęcia szkolne 15 b. m. udział w Pielgrzymce do Ziemi Świętej, Komisarjat Ziemi Świętej w Krakowie zgodził się przesunąć termin wyjazdu Pielgrzymki na dzień 25 czerwca r. b. Wszelkie informacje i zapisy przyjmuje Komisarjat Ziemi Świętej w Krakowie, ul. Reformacka 4.

Zaduch bagna moralnego

Wczoraj przemawiali oskarżyciel i obrońcy w procesie księcia Bielskiego

W powikłanym procesie księcia Bielskiego i b. dyr. „Banku Ziemiańskiego", Wańkowicza zakończył się żmudny przewód sądowy.

Wczoraj nastąpiły przemówienia stron.

Świetne pod każdym względem przemówienie oskarżycielskie wygłosił prok. Missuna, gromiąc obydwu oskarżonych, którzy, zaliczając się do najwyższych i najlepiej usytuowanych warstw społeczeństwa stali się przestępcami goniąc za pieniądzem.

Ks. Bielski — to typ niebezpieczny. Zimny, przebiegły, umie w każdej sytuacji wynaleźć punkt, dzięki któremu wydaje się mu, że osłoni się przed zarzutami. Stosuje wyrafinowane metody fałszerstw i oszustw pod płaszczykiem ideałów.

W konkluzji prokurator domagał się wysokich kar dla obydwu oskarżonych.

Następnie przemówienia wygłosili obrońcy Wańkowicza adw. Kielski i Święcicki, piętnując również działalność Bielskiego, który do swych afer wciągnął Wańkowicza, wykorzystując słabe strony jego charakteru.

Zkolei obrońcy Bielskiego adw. Neumark, Ettinger i Mikulski odegrali rolę oskarżycieli Wańkowicza. Bielski bowiem dowodzi, że afera z fałszowaniem weksli min. Janta-Połczyńskiego należy wyłącznie do Wańkowicza, który winę spycha na Bielskiego.

Te wzajemne oskarżenia dowodzą jednego, że mianowicie z całej sprawy wionie przykry zaduch bagna moralnego, w jakim ugrzęźli obaj jej bohaterzy.

Wyrok sądowy, który będzie ogłoszony w początkach przyszłego tygodnia, przypieczętuje tylko niezbity ten fakt.

OWOC GRZECHU

TRAGICZNE DZIEJE KTÓRE, WSTRZĄSNĘŁY CAŁYM ŚWIATEM

STRESZCZENIE.

Tadeusz i Irena hrabiostwo Wilniccy byli szczęsliwem małżeństwem, posiadającem dwóch synów bliźniaków: Jasia i Stasia. Bardzo lubiani w okolicy, mieli tylko jednego nieżyczliwego sobie sąsiada. Był nim doktór Rymkiewicz, lekarz okoliczny. Nigdy też go do siebie nie wzywali, korzystając z usług dalej mieszkającego starszego lekarza.

Hrabia Tadeusz musiał wyjechać zagranicę. Była wigilja Bożego Narodzenia. Dzieci bawiły się w śniegu. Wtem Jaś wpadł do przerębli. Z trudem go wyłowiono. Dawał słabe oznaki życia. Trzeba było czemprędzej zawezwać lekarza. Niewolno było tracić czasu na sprowadzenie daleko mieszkającego starszego lekarza, lecz zawezwać doktora Rymkiewicza. Tak też uczyniono.

Doktór Rymkiewicz dokonał szeregu zabiegów, poczem oświadczył że dziecku jest lepiej, ale zostanie ocalone tylko przy natychmiastowych dalszych energicznych zabiegach. Uzależniał je od straszliwego warunku. Oświadczył mianowicie, że kocha Irenę i pragnie ją posiąść. W innym wypadku zaniecha dalszego ratowania dziecka, które niechybnie umrze. Nic nie pomogło, prośby, ani błagania Ireny. Rymkiewicz stawiał sprawę na ostrzu noża: albo — albo...

Chcąc uratować dziecko, Irena uległa. Ale nieszczęśliwy wypadek spowodował śmierć Stasia jeszcze tej samej nocy.

Irena urodziła syna. Gdy dziecko miało lat sześć, upadło i ciężko się zraniło. Wezwano d-ra Rymkiewicza. Wilnickiemu podejrzane wydała się rozmowa Rymkiewicza z żoną, przy łóżku Stefka, gdy oddalił się na chwilę. Postanowił przeto wypytać synka o czem mówiła żona z doktorem.

Stefek powtórzył Wilnickiemu rozmowę Ireny z Rymkiewiczem. Wilnicki zażądał wyjaśnień od żony. Przyznała się do wszystkiego, wobec czego Wilnicki postanowił zgładzić Rymkiewicza w pojedynku.

Pojedynek się odbył, Rymkiewicz był ciężko ranny, ale wyzdrowiał. Irena z rozpaczy dostała obłędu, potajemnie uciekła z domu, pojechała do Warszawy i tu rzuciła się do Wisły.

Z Wisły ją wyłowiono. Oddano do Tworek. Tam była 20 lat, gdy nagle pielęgniarka Cesia dostrzegła, że Irena odzyskuje rozum.

Przeczucia jej nie myliły. Irena zbiegła z zakładu i niepoznana przez nikogo wróciła do stron rodzinnych.

Tymczasem Stefek został księdzem. Irena zgodziła się do niego za gospodynię. Jaś zakochał się w córce Rymkiewicza, Lilce i oświadczył się jej. Ta zwierzyła się z tem matce a potem i ojcu.

Rymkiewicz odmówił Lilce pozwolenia na ślub z Jasiem. Ojciec Jasia również sprzeciwił się temu małżeństwu.

Tymczasem w tych okolicach osiedlił się zamożny emeryt Kurcewicz. Trzymał duże pieniądze w biurku. Połasiła się na nie młynarzowa Hełzina, ta sama, która niegdyś w młodości po raz pierwszy poróżniła Wilnickiego z Rymkiewiczem. Zakradła się do pokoju Kurcewicza, gdy go nie było w domu.

Nie mogła wszakże znaleźć klucza od biurka i wogóle poszukiwała wspólnika. Nie zgodził się na to jej mąż, zgodził się natomiast doktór Rymkiewicz. Tymczasem Kurcewicz ciężko zachorował i umarł. Oboje wspólnicy zabrali się do dzieła. Znaleźli wszakże zaledwie parę tysięcy, które wzięła Hełzina i zakopała pod dębem. Podczas, gdy gospodarowali w gabinecie zmarłego, weszła służąca stara Maciejowa i złapała ich na gorącym uczynku. Rymkiewicz, w obawie, aby ich nie wydała, zadusił ją, a następnie powiesił na haku od lampy, aby upozorować jej samobójstwo, poczem uciekł. Hełzina została. Wnet zbiegli się ludzie, przyszedł wójt, zaczęło się śledztwo.

Poszlaki, że to nie było samobójstwa, ustalono dwie. Doktór Burski stwierdził ślady duszenia na szyi Maciejowej i odpowiednie zmiany wewnętrzne. Poza tem na biurku znaleziono papier, na którym były bezsporne ślady butów Rymkiewicza, z czego wynikało wyraźnie, że wchodził na biurko, aby powiesić Maciejową. Ale udowodnić mu tego niemożna było.

Wysłano więc dwóch wywiadowców Maledę i Brodzika. Ten ostatni zgodził się nawet za służącego do Rymkiewicza. Nie zauważył wszakże tego, co nawet dostrzegła Lilka, że Rymkiewicz przez sen kogoś dusi.. Omal jej samej nie udusił.

Maleda natomiast uzyskał cenne wiadomości od pasterza Felka, który z wysokiej topoli widział, jak Rymkiewicz dusił Maciejową.

Pewnego wieczora Lilka była świadkiem nowej sceny, która zmroziła jej krew w żyłach.

Tym razem wszakże była ostrożniejsza i dzięki temu uniknęła bezpośredniego zetknięcia się z ojcem.

Wszystko zato widziała dokładnie.

Najpierw zaczęło się wszystko, jak poprzednio. Te same słowa, gesty. Rymkiewicz podchodził do biurka, usiłował je otworzyć, mówił do kogoś: „Pośpiesz się, bo stara może przyjść". Potem znów zaskoczyło go widocznie, przybycie tej starej, domagał się, aby go nie wydała, groził jej. Potem, ponieważ, zapewne, stara mu się sprzeciwiała, rzucił się na nią... Oczywiście, znajdował przed sobą próżnię... A jednak dusił tego kogoś niewidzialnego i po tych jego ruchach nietylko można było się domyśleć zbrodni, lecz poprostu widziało się ją, jak na dłon-

Gdy Lilka przypomniała sobie owe dwie sceny, z których jedną wyśledziła zaraz po powrocie ojca z Małowa w dzień śmierci Kurcewicza, a drugą ostatnio, nie miała żadnej wątpliwości. Jej mętne podejrzenie stało się przeraźliwie jasną pewnością. Jej ojciec zadusił Maciejową!

Bardzoby pragnęła móc w to nie wierzyć. Choć ojciec niewiele się o nią troszczył i nie obdarzał uczuciem miłości, długo jednak i uparcie nie mogła się pogodzić z okropną i o hydną rzeczywistością.

Owe dwie sceny usiłowała sobie wyobrazić, jako senne zmory, dręczące jej ojca, boć przecież wszystko może się człowiekowi przyśnić.

I możeby wreszcie odpędziła od siebie te straszliwe myśli, gdyby nie zaszło jeszcze coś...

Pewnego dnia wstała, jak zwykle, bardzo wcześnie i szła właśnie zajrzyć do matki, gdy wtem usłyszała jakiś szelest w ogrodzie.

Otworzyła okiennice i ujrzała, jak kilku chłopaków wiejskich ciekawie zagląda przez szpary sztachet.

A przez ogród kroczyło w kierunku domu dwóch osobników, zupełnie jej nieznanych.

Jednym z nich był znany już nam Maleda, a drugim — policjant.

Jeszcze jeden policjant stał przy furtce.

Lilka zadrżała i zbladła. Szepnęła:

— Jest zgubiony...

Bo w jakimże celu przybyłaby tu policja? Wyłącznie chyba, aby aresztować jej ojca.

Matka także widocznie coś przeczuwała, bo uniosła z poduszek głowę i zapytała:

— Cóż tam tak wypatrujesz, Lileczko?

Lilka drgnęła. Zrozumiała, że będzie musiała ukryć to wszystko przed biedną, chorą matką, kłamać przed nią, bo prawda mogłaby natychmiast położyć kres jej życiu.

Odpowiedziała więc tylko:

— Nic takiego, mamusiu. Mróz był, widać, silny tej nocy. Wszystko jest pokryte szronem. Całe szczęście, że zawczasu otuliliśmy słomą nasze krzewy.

— O, tak, inaczej jużby było po nich. Zima będzie pewnie ostra w tym roku.

Poczem natężyła słuch i rzekła:

— Słyszę jakieś kroki w ogrodzie. Czy to już ktoś po tatusia? — zapytała, mając na myśli, oczywiście, że to ktoś, co go chce wezwać do chorego, ale Lilka była już tak nastawiona na co innego, aż oniemiała, zachodząc w głowę, skąd matka mogła się domyśleć...

Zorjentowała się dopiero w rzeczywistości, gdy matka rzekła:

— Nawet wyspać mu się porządnie nie dadzą. Wkońcu jego samego trzeba będzie leczyć...

Teraz dopiero Lilka spostrzegła, że matka niczego nie podejrzewa, więc szybko rzekła:

— Tak, to pewno po tatusia do chorego.

— Nie wiesz od kogo? Nie poznajesz?

— Nie.

— Muszą być skądś zdaleka. Czy tatuś już wstał?

— Nie wiem, zobaczę.

— Tylko wróć zaraz, dziecinko, dobrze?

A gdy już wychodziła, matka dodała:

— Zanim wyjdziesz, otwórz okno, niech się tu trochę wywietrzy.

Lilka obawiała się wszakże, że dolatujące z ogrodu głosy mogą wzbudzić u chorej jakie podejrzenia, a przecież za wszelką cenę chciała przed nią wszystko ukryć.

Rzekła więc:

— Boję się, mamusiu... Dziś taki mróz... Mógłabyś się zaziębić...

— Skądże? Przecież codziennie zawsze otwierasz i nic. Pod kołdrą mi ciepło.

— No więc dobrze, ale może, jak wrócę? Przyjdę za chwilę, rozpalę ogień w kominku... Wtedy można będzie wietrzyć bez jakiejkolwiek obawy.

— Dobrze, dziecinko, niech i tak będzie — odparła Rymkiewiczowa, rozrzewniona do łez troskliwością córki.

Tymczasem Maleda z policjantem weszli do dworku. Otworzył im Brodzik.

Trudno opisać jego zdziwienie. Zrozumiał wszystko wlot. Maleda przybywał tu, aby zaaresztować Rymkiewicza.

Toż to dopiero kompromitacja i wstyd dla Brodzika! Siedzi na miejscu i nie ma najmniejszej poszlaki, a kolega zzewnątrz ma ich snać mnóstwo, skoro uzyskał nakaz aresztowania.

To też Maleda o mało nie parsknął śmiechem widząc, jak Brodzik zdębiał..

Brodzik szepnął mu:

— Świnia z ciebie, nie kolega...

— Dlaczego? — pytał niewinnie Maleda.

— Mogłeś mnie przynajmniej uprzedzić.

— Nie miałem kiedy.

— Teraz ja wyjdę na idjotę wobec władz.

— Nie bój się. Powiem, żeśmy to wspólnie zmajstrowali. Przyrzekliśmy sobie przecież sztamę przed wyjazdem.

— No więc pamiętaj, tylko nie zapominaj...

— Nie bój się, połamańcze, swój człowiek jestem.

— Masz poważne poszlaki?

— Mam pewność. Niezbite dowody! Coprawda, nakaz aresztowania ledwo wybłagałem. A co tam sąd zrobi, to już jego rzecz.

— Zresztą, jak facet będzie w mamrze, to sobie jeszcze poszukamy i innych dowodów i tak go się przyskrzyni, że ani zipnie. No, a teraz lecę powiedzieć, że jesteście. Zdaje się, że jeszcze śpi.

— Dobra, ale pilnuj się. Może nas już widział przez okno i zwieje nam?

— Nic się nie bój. Mnie nie ucieknie.

Rymkiewicz już nie spał, ale jeszcze leżał.

Brodzik zawiadomił go najspokojniej w świecie, że ktoś czeka na niego na dole.

Rymkiewicz ubrał się i już wychodził z pokoju, gdy na progu natknął się na Lilkę.

Była cała blada, wylękniona, drżąca.

Zapytał ją:

— Coś ty chora?

— Nie, ale... widziałam w ogrodzie ludzi, których obecność tu dziwi mnie niepomiernie...

Rymkiewicz z trudem opanował lęk i zapytał:

— A któż to taki? Brodzik powiedział mi przed chwilą, że ktoś czeka, ale nie mówił kto, ja zaś go się nie pytałem, bo któż może być, jak nie pacjenci?

— Nie. To dwóch policjantów. Jeden został przy furtce, drugi wszedł do domu z jakimś panem, ubranym po cywilnemu.

Rymkiewicz uśmiechnął się. Nie miał najmniejszej obawy co do siebie. Gdyby go miano aresztować, uczynionoby to już bardzo dawno.

Rzekł więc:

— Cóż z tego? Bo to raz tu bywają? Ilekroć stanie się jaki wypadek, przychodzą, żeby dać znać. Nie rozumiem, dlaczego ich obecność cię trwoży.

Zarazem zaś spojrzał przenikliwie na córkę, jakby chcąc wybadać, co ona właściwie myśli. Przez chwilę sądził, że może rzeczywiście Lilka coś podejrzewa. Przypomniał sobie, że Lilka, zapewne, pamięta ową noc, która musiała jej nasunąć poważne podejrzenia. Bóg wie, co tam wtedy wygadywał? I co z tego Lilka usłyszała? Wkrótce wszakże uspokoił się. Jeżeli nawet jakie podejrzenie zrodziło się w jej głowie, postara się, aby je rozproszyć swoją pewnością siebie.

I był taki spokojny, że Lilka już doprawdy zaczynała wątpić w to, co widziała na własne oczy i słyszała na własne uszy.

Zeszedł nadół.

Lilka została na schodach, chowając się we wnęce drzwi, aby podsłuchać rozmowę.

Na dole czekał Maleda z policjantem.

Rymkiewicz wszedł i przywitał się z policjantem, którego dobrze znał. Natomiast w Maledzie odrazu wyczuł swego wroga.

Podczas gdy policjant odrazu cofnął się i stanął przy drzwiach, Maleda zapytał:

— Czy mam zaszczyt mówić z panem doktorem Rymkiewiczem?

— Tak jest. Czem mogę panu służyć?

— Jestem z policji.

— I cóż mam z panem zrobić?

— Pan ze mną nic. Ja z panem wiele... — odparł Maleda i pokazał Rymkiewiczowi nakaz aresztowania, mówiąc — zechce pan łaskawie przeczytać i zastosować się...

— Ja? — zapytał Rymkiewicz, śmiertelnie przerażony, a mimo to zachowując panowanie nad sobą.

Udawał, że czytał nakaz, ale litery latały mu przed oczyma. Nic nie widział. Wreszcie zapytał:

— Czy pan sędzia śledczy Penkiel dobrze się namyślił, zanim wydał ten nakaz? Przecież wybuchnie straszny skandal. Na mnie spadnie hańba, równie okropna, jak niezasłużona... Przecież nie można tak człowieka ni stąd ni zowąd narażać na coś podobnego...

— Powie pan doktór to wszystko panu sędziemu śledczemu osobiście. Moją rzeczą jest tylko doprowadzić pana do aresztu. Ciężki i przykry to obowiązek, ale muszę go wypełnić...

Dalszy ciąg jutro.

KRZYK W NOCY

WSTRZASAJACE GROZA DZIEJE STRASZLIWEJ TAJEMNICY

STRESZCZENIE.

Inżynier Roman Larecki miał 25-letnią żonę Helenę i 7-letnią corkę Zofję. Latem mieszkali w jego willi w Milanówku. Pani Helena z córką była na wsi cały dzień. Roman zaś przyjeżdżał dopiero na kolację.

Pewnego dnia, akurat w dzień imienin córki, długo nie przyjeżdżał. Helena i Zosia, wyczekując go, ujrzały, jak ich sąsiad Kołowicz liczy wielkie ilości pieniędzy. Potem jakiś pan, z postaci do złudzenia przypominający Romana nagle wszedł do pokoju Kołowicza, napadł na niego i po krótkiej walce zamordował go.

Helena kazała Zosi przyrzec, że nigdy nikomu nie powie ani słówka o tem, co widziała i słyszała. Zosia przyrzekła. Wtem usłyszały, że Roman wraca. Zatrzymał się przed sypialnią żony:

Roman nie wszedł jednak do pokoju. Helena nie odezwała się, pomyślał więc, że śpi. Po chwili ona wraz z córką weszły do salonu. Roman siedział przy biurku. Wstał i ruszył ku nim.

Roman nie dostrzegł w mroku żony i córki. Nie podszedł do nich. Wziął rewolwer i chciał się zastrzelić, w ostatniej chwili wszakże cofnął się. Nazajutrz z rana Roman wrócił do miasta.

Tymczasem przychodząca sprzątać do Kołowicza stara służąca, stwierdziła jego zgon. Zawiadomiła o tem władze, które skrzętnie zbierały wszystkie poszlaki.

Helena zataiła wszystko przed sędzią śledczym. Lecz jej służąca wygadała się przed nim, opowiadając całą prawdę.

Wyniki śledztwa okazały się dla Lareckiego fatalne. Aresztowano go.

Okazało się, że Larecki kiedyś miał przelotny romans z mecenasową Janiną Czarnomską, która nagle poprosiła go o spotkanie w pilnej sprawie.

Poprosiła, aby pożyczył jej sto tysięcy na pokrycie osobistych długów w tajemnicy przed mężem. Uczynił to, ale potem zaprzyjaźnił się z jej mężem, nie chciał więc wznawiać zażyłości z jego żoną. Czarnomska poprzysięgła mu zemstę. Pomagał jej w tem ciemny typ Lutyn, który miał też zadawniony żal do Lareckiego i z tyłu był do niego łudząco podobny. Odesłali mu owe sto tysięcy z pieniędzy, zrabowanych Kołowiczowi przez jego zabójcę — Lutyna.

Sędzia śledczy zarządził konfrontację Lareckiego z jego żoną i córką, które na jego widok cofnęły się odruchowo...

Przez cały czas śledztwa uparcie twierdziły, że nic nie widziały i nie słyszały. Wobec tego Larecki też przestał się usprawiedliwiać, zapewniając tylko o swej niewinności. Helena rozchorowała się śmiertelnie.

Czarnomski postanowił bronić Lareckiego w sądzie. W tym celu odwiedził go w więzieniu i zadał mu szereg pytań, domagając się, zwłaszcza wyjaśnienia, kto dał Lareckiemu owe sto tysięcy. Larecki wzdragał się z odpowiedzią.

Milczał do końca. Milczała również Zosia, gdy ją na rozprawie pytano o szczegóły morderstwa. Heleny już nie można było badać, bo tymczasem umarła z rozpaczy.

Podczas, gdy Czarnomski wygłaszał przemówienie obroncze Lareckiego, doręczono mu list anonimowy, pisany ręką Lutyna. Czarnomski po przeczytaniu tego listu, powiedział Romanowi, że wie już o zdradzie żony. Usiłował bronić go dalej, ale serce nie wytrzymało i... pękło.

Lareckiego skazano na dożywotnie więzienie. Po półtora roku zbiegł on z więzienia i dotarł do stryjostwa Heleny — Bernackich, którzy zaopiekowali się Zosią. Larecki postanowił zabrać Zosię i uciec z nią zagranicę, co też uczynił.

Wyemigrował z nią do Ameryki, zbogacił się tam, dostał dokumenty na nazwisko obywatela amerykańskiego Johna Rogersa i wrócił do Polski. Nikt go nie poznał, bo miał spalony policzek, podczas ratowania dziecka z płonącego domu.

Po powrocie do kraju wraz z Zosią, udał się w nocy na cmentarz w Milanówku, aby pomodlić się nad grobem żony. Wydawało mu się, że w mroku mignęła mu się Zosia. Pobiegł na dworzec, aby się przekonać, czy to rzeczywiście była ona.

Była to rzeczywiście Zosia, ale udało się jej tak zręcznie ukryć, że nie dostrzegł jej zupełnie. Wnet potem osiedlił się z nią na wsi niedaleko Warszawy w majątku Koziny. Nie wiedział, że z majątkiem tym sąsiadował Mieszków, dobra Czarnomskich. Osiedliła się tu wdowa po adwokacie Ludwiku Czarnomskim z dwoma synami: 24-letnim Pawłem i 22-letnim Ryszardem, młodym prawnikiem, spędzającym na wsi u matki każdą wolną chwilę. Obaj Czarnomscy zakochali się w Zosi. Ona odczuwała większą sympatję do Ryszarda, który kiedyś nawet zaskoczył ją śpiącą w lesie i pocałował w czoło. Ponieważ wszakże broniła się przed tą miłością, więc gdy ją prosił o przebaczenie za swój postępek odparła mu zimno, że nie ma za co i odeszła.

Pewnego dnia Zosia zwierzyła się dozorczyni Kasi, że kocha Ryszarda. Okazało się wszakże, że on, ukryty za zasłoną alkowy, usłyszał to. Zosia, przekonana, że wpadła w zasadzkę, była oburzona na Ryszarda i nie chciała mu wierzyć, że to był przypadek. Na jego błagania odpowiadała milczeniem.

Zosia milczała. A więc nie wierzyła mu wciąż jeszcze.

Tymczasem on ją błagał:

— Panno Zosieńko, niech pani sama stawia warunki. Jakiekolwiek będą, przyjmuję je zgóry.

Milczała uparcie, pragnąc widocznie być okrutna i nieubłagana już do końca.

Zapytał zrozpaczony:

— A więc pani i tego nie chce? Cóż? Nie pozostanie mi nic innego, jak zabić się... bo nie będę mógł żyć ze świadomością, że pani mnie ma za tchórza. Gdy umrę, może mi pani wreszcie uwierzy. Nie będzie już pani na to długo czekała.

Wziął strzelbę, nabitą dwiema kulami.

Oparł kolbę o kamień, a lufę dubeltówki przystawił do piersi.

Poczem blady, jak trup, rzekł:

— Panno Zosiu... Byłaby pani kochaną nade wszystko na świecie. Kochałbym panią nad życie... więcej, niż ojca i matkę... Kocham panią i wybaczam pani moją śmierć...

Odwiódł kurek i nacisnął cyngiel...

Zanim wszakże jeszcze padł strzał, nagle czyjaś ręka gwałtownie pociągnęła strzelbę.

Padły dwa strzały jednocześnie...

Ich hukowi zaś odpowiedział krzyk przerażenia i bólu, który wyrwał się z piersi Ryszarda.

To Zosia w ostatniej chwili podbiegła do Ryszarda i schwyciła strzelbę za lufy.

Strzał przedziurawił jej suknię, a proch całą osmalił...

U szczytu przerażenia Ryszard zawołał:

— O Boże!.. Zraniłem panią!

Zaprzeczyła tylko głową... Nie miała siły rzec słowa... Wreszcie zachwiała się i byłaby upadła, gdyby nie to, że Ryszard podbiegł i podtrzymał ją...

Ryszard pytał dalej zaniepokojony:

— Czy pani aby doprawdy nie ranna?

— Ależ nie...

Nie mogła wszakże ani chwili dłużej panować nad swem szalonem napięciem nerwowem...

Wybuchnęła spazmatycznym płaczem... Ryszard wszelkiemi siłami starał się ją uspokoić, mówiąc:

— O, Boże... pani płacze!... Przestraszyła się pani, pewnie?... Tak, to moja wina!... Trudno... Co robić? Czy wybaczy mi to pani, panno Zosieńko?

Zosi serce waliło, jak młotem, a przez mózg przelewały bezładne myśli.

Chciał się zabić... Dla niej.. Tak, to nie ulegało już teraz najmniejszej wątpliwości...

Jeszcze jedna sekunda... Nie! Ułamek sekundy... a padłby trupem u jej stóp...

I coby wówczas było?

Przecież przez całe życie dręczyłyby ją najokropniejsze wyrzuty sumienia, że stała się powodem jego śmierci...

Niemal zbrodniarką!.. Tak jest... Bo to właściwie onaby go zabiła... Więc jednak nie kłamał!...

A ona nie chciała dać wiary jego słowom... choć tak się, biedak, zaklinał, tak przysięgał...

Teraz zaś cóż? Już koniec... Niesposób było dłużej się opierać... Nie miała już zresztą na to sił...

Zbyt ją „wzięły" te straszne przeżycia... Zbyt osłabiły... Znikł wszelki opór.

Pomyśleć, że jeszcze przed godziną była taka smutna, czuła się taka samotna i opuszczona... Tak pragnęła choć jednego słowa miłości, odrobiny serca czyjegoś...

A teraz?

Szepnęła cicho, cichuteńko:

— Panie Rysiu... Nie poznałam się na panu... Obraziłam pana bardzo... Czy zdoła mi pan kiedykolwiek wybaczyć?

— Owszem... chętnie... przebaczam... bez zastrzeżeń..,

— O, pan miałby prawo wymagać znacznie więcej... Naprzykład, mógłby pan żądać żebym... powtórzyła panu to, co... mówiłam Kasi.., wyznając jej, że... kocham pana.

— Zosieńko... — zawołał tylko Ryszard i nic już więcej nie mógł powiedzieć. Rozpromieniony padł przed nią na kolana..

Dalszy ciąg jutro

Radjo na usługach Narodu

Uroczystości żałobne w Warszawie i Krakowie były dniami, w których — można to powiedzieć bez żadnych zastrzeżeń — rozgłośnie polskie nie tylko zdały trudny egzamin swej sprawności, ale zarazem zjednały sobie serca ludności polskiej, zarówno zamieszkałej na terenie Rzplitej, jak i w ośrodkach emigracyjnych zagranicą. Patrząc się na te transmisje z punktu widzenia technicznego i organizacji pracy — dojdzie się do wniosku, że transmisja uroczystości pogrzebowych ku czci Marszałka Piłsudskiego w Warszawie była znacznie łatwiejsza od tych, jakie miały miejsce w Krakowie. Różnica polegała na tem, że uroczystości w stolicy były rozłożone w ciągu kilku dni, tak, że codziennie radjostacje dzięki temu mogły transmitować tylko pewien fragment. W Krakowie zaś cały obchód był zamknięty w odcinku czasowym kilku godzin.

Zmontowanie więc transmisji, którąby stanowiła zwartą całość i dawała pełny obraz uroczystości pogrzebowych, nastręczało niemałą trudność. Podobnie ze względów technicznych skomplikowaną wielce sprawą było zmontowanie odpowiedniej ilości mikrofonów i zapewnienie sobie linij telefonicznych. Było to konieczne nietylko ze względu na transmisje krajowe, ale i zagraniczne. Jak wiadomo bowiem na uroczystości krakowskie przybyło kilku radjo - reporterów zagranicznych, celem przeprowadzenia transmisji dla swych rozgłośni.

Problem transmisji z przybycia zwłok Marszałka Piłsudskiego do Krakowa, przejścia konduktu pogrzebowego, uroczystości na podwórcu wawelskiem, nabożeństwa w Katedrze i złożenia zwłok w krypcie rozwiązano pomyślnie, umieszczając 19 mikrofonów na całej trasie. Z tego dwa mikrofony znajdowały się na dworcu głównym przy rampie kolewej, gdzie przybył pociąg z trumną, jeden na ulicy Basztowej, trzy na wieży Marjackiej, jeden na bastjonie Władysława IV u Wawelu, cztery u wejścia Wawelu, sześć w Katedrze, jeden w krypcie św. Leonarda, wreszcie jeden na wieży Katedry koło dzwonu „Zygmunta". O rozmiarach tych urządzeń technicznych może świadczyć fakt, że na same wzgórze wawelskie doprowadzono 22 linij kablowych łączących mikrofony z amplifikatornią rozgłośni krakowskiej. Rzecz oczywista, że do takiej ilości mikrofonów trzeba było odpowiedniego personelu technicznego, któryby wraz ze speakerami mógł podołać całej pracy.

Rolę radjo - reporterów pełnili mjr. Krzewski, prof. H. Mościcki, red. Piotrowski, dyr. Hulewicz, mjr. Felsztyński, p. Bohdziewicz, mjr. Lipiński, red. Strzetelski z Warszawy, dalej dr. Kocurek dla czeskich, red. Grabowski, A. Wójcicki z Krakowa, wreszcie dla rozgłośni zagranicznych red. Sprostranoff dla rozgłośni bułgarskich, dr. Kocurek dla czeskich, red. Antoine dla francuskich, oraz dr. Weindner i von Burghardt dla niemieckich.

W reportażu radjowym zarówno zagranicznym, jak i krajowym, speakerzy dali całokształt uroczystości wykorzystując umiejętnie wszystkie efekty dźwiękowe, jakie można było osiągnąć. Słychać więc było hałas zbliżającej się lokomotywy, komendę oficerów, dudnienie kół lawety armatniej, rytm kroków maszerujących żołnierzy, tętent koni, jęk syren, głos dzwonów, czy wreszcie salwę strzałów armatnich. Wszystko to razem wraz ze słowami opisującemi zarówno malownicze tło, tych pełnych sugestywności uroczystości, jak i nastrój tłumów, czy wrażenia z posuwającego się konduktu, lub ceremonij religijnych w Katedrze — dało obraz nietylko słuchowy, lecz dzięki swej wymowności, niemal i wzrokowy.

Połączone radjostacje polskie nadawały bezpośrednio z mikrofonów przebieg uroczystości. Zagraniczne zaś reportaże były nagrywane na taśmie „Stilla" i dopiero po odpowiednim montażu nadawane przez poszczególne radjostacje. Słuchając tych audycyj trzeba przyznać zupełnie szczerze, że zagraniczni speakerzy doskonale wczuli się w nastrój i koloryt uroczystości krakowskich, stwarzając prawdziwie piękne montaże radjowe. Równocześnie oddały one ten ogrom uczuć i miłości, z jaką przedstawiciele wszystkich warstw społeczeństwa, żegnali ukochanego Wodza Narodu. To też reportaże te były najlepszym sprawdzianem wobec tysięcy zagranicznych radjosłuchaczy, czem był dla Odrodzonej Polski Zmarły Wódz.

Radjo dobrze zasłużyło się w tych dniach zarówno wobec Polski, jak i zagranicy. Rzeczą niemożliwą do obliczenia jest stwierdzenie, ile razy radjo — to cudowne dziecko dwudziestego wieku — oddało nieocenione usługi zarówno całej ludzkości, jak i poszczególnym społeczeństwom. Można jednak stwierdzić, że w chwilach przełomowych, w chwilach, kiedy całe społeczeństwo przybite zostało tragiczną wieścią z Belwederu — radjostacje polskie stanęły na wysokości swego zadania. Ludziom zagubionym na dalekiej prowincji skromne aparaciki detektorowe pozwoliły być ich myślami i sercami wpobliżu idącej, w triumfalnym pochodzie przez cały kraj, trumnie Zmarłego Wodza. I to właśnie stanowi o nieocenionej zasłudze radia.

Józef Radzimiński.

Czerwiec
9
Niedziela
Zesł. Ducha św.

KRONIKA KRAKOWA

Z rewolweru strzelał do teściowej

W Kazimierzu pod Sosnowcem doszło do krwawego starcia na tle majątkowem, które omal że nie zakończyło się tragicznie. Zamieszkały tam Władysław Kuśmierczyk od pewnego czasu chory na paraliż postępowy i skutkiem tego bezwładny, który czołga się tylko, trzymając się przesuwanego rękami krzesła wybudował sobie dom z teściową swoją, Marją Zaciera. Na tym tle między wymienionymi dość często wybuchały kłótnie, a krytycznego dnia podrażniony do najwyższego stopnia uwagami teściowej, Kuśmierczyk nie panując nad sobą i wyciągnąwszy noszony stale w kieszeni rewolwer, strzelił do teściowej, trafiając ją w kolano. Strzał zaalarmował domowników, którzy z przerażeniem stwierdzili straszne skutki zatargu. Policja prowadzi w tej sprawie dochodzenia.

19-letni młodzieniec oskarżony o bigamję i zmuszanie żon do nierządu

Na ławie oskarżonych w sądzie okr. w Łodzi zasiadł wczoraj 19-letni Rachmil Rzetelny, który pomimo swego młodego wieku oskarżeny jest o bigamję i zmuszanie żon swych do nierządu.

W ciągu ubiegłego roku Rzetelny pobrał się z 4-ma kobietami. Wczoraj w sądzie Rzetelny nie przyznał się do stawianych mu zarzutów i tłumaczył się że pierwszą żonę wyciągnął ze szpon prostytucji, z drugą ożenił się, gdy był nietrzeźwy, trzecią wziął z miłości it.d.

Sąd rozprawę odroczył celem wysłuchania zeznań rabinów którzy udzielali ślubów oskarżonemu.

Napad bandytów na plebanję

Do mieszkania księdza prawosławnego Terleckiego, we wsi Łubcze, pow. łucki, wtargnęło w minioną środę w nocy 3 osobników, z których jeden był uzbrojony w broń palną. Po zrabowaniu 2 zegarków kieszonkowych bandyci zbiegli.

Policja zarządziła natychmiastowy pościg.

Zastrzelił się na cmentarzu

Wczoraj z rana na cmentarzu powązkowskim w Warszawie rozległy się trzy wystrzały z rewolweru, a służba cmentarna znalazła przy grobie rodziny Herse zwłoki 60-letniego Michała Rytałowskiego, właściciela sklepu spożywczego.

Okazało się, że Rytałowski wystrzelił pierwszy raz w górę na próbę, a drugi raz w usta. Przed trzema dniami sprzedał sklep. Pozostawił żonę i troje dzieci.

Skazanie restauratora z Podgórza

Sąd karny w Krakowie rozpatrywał wczoraj sensacyjną sprawę małżonków Łosiów którzy odpowiadali za podstępne wyłudzenie podpisu na wekslach oraz pobicie.

Na ławie oskarżonych zasiadł Paweł Łoś, lat 44 właściciel restauracji w Podgórzu przy ul. Zabłocie 45 oraz jego żona Anna lat 37.

Tło sprawy przedstawia się następująco:

We wrześniu ubiegłego roku kupił osk. Łoś sklep od Michała Woźniaka, który miał otrzymać gotówkę, oraz pozostałą resztę w towarze.

Pewnego dnia poszkodowany Woźniak przybył do restauracji Łosia który widząc że Woźniak pijany jest do nieprzytomności, podsunął mu weksel na kwotę 3.000 zł. i namówił go do podpisania.

Gdy Woźniak po chwili oprzytomniał i żądał z powrotem weksli, małżonkowie pobili Woźniaka i wyrzucili go za drzwi.

Po przeprowadzonej rozprawie sąd skazał małżonków Łosiów po 2 miesiące więzienia.

Rozp. przew. s. dr. Wasilewski, osk. prok. dr. Jarosiński.

Reicher nie będzie wypuszczony na wolność

Donoszą nam, że u prokuratora krakowskiego były czynione starania, aby b. dyrektora P. T. H. wypuścić za kaucją na wolność.

Według posiadanych przez nas informacyj starania te nie odniosły skutku.

Śledztwo w sprawie nadużyć w PTH prowadzi osobiście szef prokuratury sądu okr. dr. Spólnik. Potrwa ono czas dłuższy.

Obecnie biegli księgowi badają buchalterję za ostatnie lata celem ustalenia w jaki sposób aresztowany b. dyr. Stefan Reicher dupuszczał się nadużyć, oraz na jaką sumę.

Smiertelny wypadek pod Matecznym

Wstrząsający wypadek wydarzył się wczoraj w południe na ul. Piotra Skargi w Podgórzu pod Matecznym.

Mianowicie podczas budowy kanału utopił się 25-letni robotnik Piotr Pizdyga.

Zawezwano natychmiast straż pożarną celem wydobycia nieszczęśliwego.

Po pięciogodzinnej pracy wyłowiono zwłoki tegoż.

Kraków musi być czysty!

Komitet obywatelski czystości Krakowa wydał następującą odezwę:

Wszyscy to rozumiemy, że Kraków, dzięki swym wartościom historycznym i kulturalnym, jest drogocennym skarbem całego Narodu.

Honor i ambicja Krakowian winny stanąć na straży tego skarbu i dać mu oprawę, godną jego ceny.

Honor i ambicja winny wypowiedzieć wojnę brudowi i niechlujstwu, które urągają piękności i zdrowiu najdostojniejszego miasta Polski.

Honor i ambicja powinny wprzęgnąć wszystkich mieszkańców Krakowa, od dzieci szkolnych począwszy, do pracy nad przyodzianiem go w szatę, harmonizującą z jego dostojeństwem.

Od dnia dzisiejszego stajemy wszyscy na straży czystości domów i ulic.

Nie będziemy zaśmiecać ulic i placów publicznych! Wszędzie będziemy tępić brud i niechlujstwo!

Będziemy bezwzględni i nieustępliwi w przestrzeganiu przepisów porządku i higjeny na każdym kroku. Podejmiemy walkę z porzucaniem na ulicy jakichkolwiek śmieci, odpadków, papierów, niedopałków, łupin i pestek, które winny się znaleźć jedynie w rozmieszczonych wszędzie, specjalnych koszykach. Będziemy dbać najtroskliwiej o czysty wygląd domów, bram, sklepów i okien wystawowych.

Staniemy się wszyscy niestrudzonymi głosicielami haseł czystości, jako nieodzownego warunku piękna i zdrowotności Krakowa. Będziemy domagać się sami, aby powołane władze zastosowały surowe kary wobec tych, którzy z uporem nie zechcą stanąć do szeregu w walce z niechlujstwem i brudem!

Praca nasza — to praca dla dobra Krakowa!

Czysty Kraków — chlubą Polski!

Rodzice znęcali się nad dzieckiem w Skawinie

Na ławie oskarżonych w sądzie okręgowym karnym w Krakowie, zasiedli wczoraj małżonkowie, 29-letni Tadeusz Knapczyk oraz jego żona 28-letnia Janina, zamieszkali w Skawinie, którzy znęcali się nad swoim 1-rocznym synem Czesławem.

Według aktu oskarżenia sprawa przedstawia się następująco: Knapczykowie nie żyli w zgodzie w małżeństwie a to z tego powodu, że Knapczyk podejrzewał swą żonę o zdradę. Knapczyk również twierdził, że syn jego Czesław jest nieślubnem dzieckiem jego żony. Dziecko to Knapczyk nienawidził i niemiłosiernie znęcał się nad nim, bijąc go, wyrzucał na gnojówkę i morzył go, chcąc go tym sposobem zagłodzić.

Ponadto Knapikowie oskarżeni byli o pozostawienie dziecka bez opieki.

Po przeprowadzonej rozprawie sąd skazał Knapczyka na 8 miesięcy więzienia, zaś żonę jego na 6 mies. więz. Ponieważ osk. Knapczyk odgrażał się żonie po ogłoszeniu wyroku, będzie miał nową sprawę w sądzie.

Rozprawie przew. s. o. dr Wasilewski osk. prok. dr Jarosiński.

Uczeń topił się na Wiśle

Pogotowie ratunkowe wyjeżdżało wczoraj do Podgórza, gdzie na Wiśle pod skałą Twardowskiego topił się 9-letni uczeń Kazimierz Tempel zamieszkały przy ul. Grodzkiej L. 60.

Przejeżdżający flisacy uratowali tonącego. a wezwany lekarz pogotowia po zastosowaniu sztucznego oddechu przywrócił go do życia.

Wybory drugiego wiceprezydenta m. Krakowa

Dnia 13 b.m. odbędzie się w Krakowie posiedzenie Rady Miejskiej.

Głównym punktem obrad będzie wybór drugiego wiceprezydenta miasta na miejsce prof. inż. Skoczylasa, który zrezygnowe z zajmowanego stanowiska.

Podobno wiceprezydentem ma być wybrany dotychczasowy ławnik i prezes klubu gospodarcze go, dr. Radzyński

Napad rabunkowy

W Kniażycu (pow. Przemyśl) bandyci napadli na dom Anny Witek i zabrali 60 zł.

Opuszczając dom jeden z bandytów strzelił z rewolweru do siedzącej na łóżku Anny Witek Kula ugodziła ją w pierś, powodując śmierć na miejscu.

Po dokonaniu zabójstwa sprawcy zbiegli.

Teatr miejski: pop. Madame Dubary", wiecz. „Klub kawalerów".

Repertuar kin krakowskich

Adria: „Kapitan Korkoran" i „Wonder Bar".
Atlantic „Tajemnica małej Shirley" oraz „Ich noce".
Apollo „Żywy zastaw".
Bagatela. „Twe usta kłamią" oraz rewja „Bagatela zaprasza".
Dom żołnierza „Nie będziesz kurtyzaną".
Muzeum „Czibi".
Promień: „Pogrzeb ś. p. Marszałka Piłsudskiego".
Sokół „Przeor Kordecki — obrońca Częstochowy".
Słonko: „Julika".
Świt „Flip i Flap jako synowie pustyni".
Sztuka: „Złodziej serc".
Uciecha „Księżniczka 30-dni".
Wanda: „Wiedeńskie noce".
Zorza: „Zdobyć cię muszę".
Fotoplastikon **Szczepańska** „Togo" **Senaeka** „Wycieczka do słonecznej doliny Renu".

Radjo

Kraków G. 10.30 Transmisja nabożeństwa z Warsz. 11.57 Hejnał 12.03 Transm. z Warsz. 15.22 Pogadanka: Chłopacy wynalazcy 15.45 Transm. z Warsz. i Katowic 16.45 Transm. z Poznania 17.00 Transm. z Warsz. 18.30 Transm. z Torunia 18.45 Transm. z Warsz. 19.10 Koncert 22.00 Transm. meczu piłkarskiego Kraków—Berlin 22.20 Transm. z Gdyni i Warsz.

Nocny i dzienny dyżur aptek

Apteka pod Złotym Tygrysem Szczepańska 1, pod Aniołem Stróżem Kościuszki 18, pod Temidą Długa 66 pod Barankiem Mikołajska 4, Niebie- Podgórze pod Hygeą Kalwaryjska L. 27

Dzienny dyżur aptek

Apteka pod Złotym Słoniem Grodzka 22, pod Jagiełłą Pl. Matejki 3, Nowowiejska Wybickiego 1, pod Trzema Gwiazdami Rakowiecka 21. Sternbacha Dietla 36.

Podgórze pod Orłem Plac Zgody 18

Nocny dyżur lekarzy

Dr. Engel Adolf Dietla 66. Dr. Kleczek Stanisław Litewska 6. Dr. Kurz Zygmunt Sandomierska 5. Dr. Magiera Tadeusz Osiedle Ofic. 54.

Para kajakowców wpadła pod galary.

Wczoraj wieczorem w czasie kiedy statek „Mazur" holował 6 galarów na Groblach, nadpłynął kajakiem 2-osobowym Haubenstock Roman, lat 26, brązownik, zam. przy ul. Sarego l. 28 wraz kobietą i chcąc przejechać na drugą stronę między statkiem a galarem, wskutek silnego prądu dostali się pod galary. Flisacy wyciągnęli ich z wody.

Kolejarze na Sowińcu

W dniu wczorajszym warsztatowcy kolejowi z Krakowa Płaszowa — pod przewodnictwem swego naczelnika i nadzoru udali się w liczbie 300 osób na Sowiniec sypać Kopiec im. Marszałka, wywożąc sporą ilość taczek. Ponadto złożyli 57 zł. na cele kopca.

Dwie siostry utonęły w Wiśle

Podczas kąpieli w Wiśle w Tarnobrzegu utonęły dwie siostry: 16-letnia i 15-letnia Szkutnikówny, uczennice szkoły powszechnej. Starsza pospieszyła z pomocą młodszej siostrze, ale razem z nią poniosła śmierć w nurtach Wisły.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, Kraków, ul. Na Gródku 2 — Telefon 173-02 (od godz. 8—11 w poł.
CENY OGŁOSZEŃ: w Kronice krakowskiej cała strona 800 zł., pół strony 500 zł. wiersz mm. 50 gr. Drobne 15 groszy za wyraz
Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca Alfred Kwiatkowski
Drukarnia „Monopol" Kraków Na Gródk 2 Telefon. 173-02